



Stanisław Cat-Mackiewicz

Stanisław August

Stanisław August



WKRÓTCE:

Karol Maleczyński, *Bolesław III Krzywousty*



Stanisław Cat-Mackiewicz

Stanisław August

Kraków

© Copyright by Aleksandra Niemczyk, Hanna Rzepecka,
Krzysztof Rzepecki and Towarzystwo Autorów i Wydawców
Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2009
(na podstawie wydania: Świat Książki, Warszawa 1999)

ISBN 97883-242-1042-8

TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Jan Sadkiewicz

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Na okładce:
Marcello Bacciarelli, *Portret króla Stanisława Augusta
w stroju koronacyjnym*, 1792 (fragment)

www.universitas.com.pl

J'ai été dans le cas singulier
mais bien horrible de sacrifier l'honneur
au devoir.

Stanisław August

Podczas kryzysów – powtarzam –
strzeżcie się agentów.

Józef Piłsudski

I

WYSYŁAM KEYSERLINGA, BY ZROBIŁ CIEBIE KRÓLEM...

Edward VIII, król Wielkiej Brytanii, stracił koronę przez kobietę. Stanisław August, ostatni król polski i wielki książę litewski, nie tylko zyskał koronę przez kobietę, ale do korony dążył dla kobiety. Zdobyl koronę, aby zdobyć kobietę.

Dnia 26 lutego 1758 rano, w Petersburgu, żona następcy tronu rosyjskiego, Piotra, późniejszego cesarza Piotra III, wielka księżna Katarzyna Aleksiejówna, która jako panna nazywała się księżniczka Zofia Augusta Anhalt-Zerbst-Dornburg i urodziła się w Szczecinie w roku 1729 jeśli nie w niedostatku, to w każdym razie nie wśród bogactwa, a później była światu znana jako Katarzyna II Wielka, cesarzowa Wszechrosji, otrzymała od swego kochanka bilecik tajny i alarmujący, jakkolwiek rozpoczęty optymistycznym westchnieniem filozoficznym.

Wielka księżna podniosła spódnice i włożyła bilecik tam, gdzie podwiązka uchwytuje pończochę. Tak przynajmniej w swoich arcyinteresujących i arcyintymnych „Zapiskach” opowiada o kryjówkach podobnych dokumentów. Potem brwi jej, które na prześlicznej białości twarzy wyglądały jak dwie cienkie czarne linie, mistrzowską ręką rysownika węglem pociągnięte, brwi te boleśnie i z niepokojem się zmarszczyły.

Sytuacja była groźna. Przed młodą kobietą stało widmo śmierci – gorzej, bo tortur – a co najmniej możliwość utraty widoków dojścia do tak przez nią upragnionego tronu.

Kochankiem, autorem bileciku, był Poniatowski, stolnik litewski, późniejszy król, a wówczas przedstawiciel Augusta III przy Elżbiecie, cesarzowej rosyjskiej. Był on urodzony w tym Wołczyń, w którym premier Składkowski kazał go później pochować. Urodził się 17 stycznia 1733, czyli był od swojej kochanki o cztery lata młodszy. Pisał:

„Człowiek nigdy nie jest bez pomocy. Uprzedzam cię, że wczoraj wieczór aresztowano hrabiego Bestużewa i pozbawiono go urzędów i godności. Z nim razem aresztowano twego jubilera Bernardiego, Telegina i Adadurowa”.

Poniatowski w swych pamiętnikach, które wraz z zapiskami Katarzyny i wspomnieniami księżnej Daszkow stanowią podstawę rozdziału niniejszego, powiada, że Katarzyna miała usteczka, które wołały o pocałunek. Nie dziwiłbym się, gdyby te usteczka w tej chwili drgnęły od strachu.

Elżbieta Piotrówna, cesarzowa, nie raz jej wspominała o losie Aleksego Piotrowicza, swego brata przyrodniego, którego Piotr, ojciec, cesarz i największy świata tego rewolucjonista, w porównaniu z którym Lenin jest tylko umiarkowanym reformatorem, kazał nie tylko zabić, nie tylko przedtem torturować, ale pozbawić życia przez wetknięcie mu z tyłu, do kieszki odchodowej, sztaby rozpalonego żelaza. Elżbieta sama doszła do korony przez zamach stanu, przez wypędzenie swoich poprzedników i stąd nieraz podejrzliwie patrzyła na młodą Niemeczkę, ewentualną swoją dziedziczkę i współzawodniczkę, i zastanawiała się, skąd ta dziewczyna ma tyle sprytu, woli, wytrzymania, taktu i fałszu. Elżbieta była lubieżna, leniwa i pijaczka, była też jednak niegłupia.

Wspomniany w bileciku Bernardi, Wenecjanin, handlował w Petersburgu klejnotami, był łącznikiem Katarzyny z kanclerzem cesarstwa hrabią Bestużewem-Riuminem, który już dawno jej proponował pewne kombinacje. Katarzyna brała pieniądze po kryjomu od posła angielskiego Williamsa, człowieka zakochanego w Poniatowskim, a intrygi, których znać nie powinna była cesarzowa, łączyły ją z Bestużewem, posłem angielskim Williamsem, Poniatowskim, generałem Apraksinem i wielu jeszcze ludźmi. Przeciwno tym spiskom była potężna zmowa Woronców i Szuwałów, posła francuskiego

L'Hôpitala i rezydenta saskiego Prasiego, który podkopywał się pod Poniatowskiego, swego, w pewnym sensie, przełożonego.

Telegin, także wspomniany w bilecie, był adiutantem wielkiego łowczego Aleksego Razumowskiego, kochanka – „faworyta”, jak się wtedy mówiło oficjalnie – a nawet morganatycznego męża cesarzowej Elżbiety, z którym miała troje dzieci, noszących tytuł książąt Tarakanowów. Ten Razumowski za młodu był po prostu chłopcem w chórze cerkiewnym. Puszkina dumnie pisać, że jego przodek „na klirosie nie piel s djaczkami”, miał niewątpliwie jego na myśli. Teraz Razumowski był już stary i nie mógł nadażyć za temperamentem córy Piotra Wielkiego, toteż za jego aprobatą i protekcją obsługiwał cesarzową niejaki Biekietow, a właśnie Telegin miał mieć oko na tego Biekietowa. Aresztowanie jego było bardzo, bardzo nieprzyjemne.

Adadurow był nauczycielem języka rosyjskiego Katarzyny, gdy ta w roku 1744 przyjechała do Petersburga, mając kilka koszulin i kilka sukienek oraz matkę, która ją okradała z prezentów Elżbiety (sama cesarzowa miała czternaście tysięcy sukien i kilka tysięcy trzewików). Wtedy to już ta nieszczęsna dziewczynina powiedziała sobie „nie wątpię ani na chwilę, że sama sobie zdobędę władzę cesarską” i zaczęła cierpliwie znosić potworne wariactwa swego degenerata-męża. Uczyła się rosyjskiego tak pilnie, że nie spała nocami i w końcu nabawiła się jakiejś choroby, od której omal nie umarła. Kiedy uważano ją za konającą, matka zażądała pastora luterańskiego, dziewczyna się ocknęła i poprosiła, aby przyszedł pop, który ją nawracał na prawosławie. Już wtedy zresztą czytała Woltera i „wiedziała”, że prawdziwi filozofowie nie wierzą w żadną religię. Pamiętała także z tych czasów upokarzającego swego narzeczeństwa chwilę, gdy zausznik cesarzowej, Lestocq, przyszedł do niej i powiedział grubiańsko: „No, pakujcie manatki. Będziecie zaraz odesłane z powrotem”. Ale wtedy nabroiła ta jej nieznośna matka, którą istotnie wysłano.

Trzeba wiedzieć, że Katarzynę, która po kryjomu intrygowała na prawo i lewo, traktowała Elżbieta teraz jeszcze jak osobę małoletnią. I ona, i jej mąż nie mogli się w ogóle ruszyć bez zezwolenia monarchini. A teraz tego rodzaju aresztowania.

Katarzyna gra va banque.

Przed wszystkim dnia następnego idzie na bal, wydany z powodu zaręczyn Lwa Naryszkina z panną Zakrzewską. Na bal ten Ponia-

towski nie przychodzi, udając chorego. Rozmowy, a raczej szepty pokątne, dotyczą oczywiście tylko sprawy Bestużewa. Jeden dystyngowany hrabia rosyjski wyraża radość, że nie będzie potrzebował płacić Bernardiemu za klejnoty, który ten mu przyniósł przed aresztowaniem. Katarzyna wie już, że śledztwo w sprawie Bestużewa znajduje się w rękach trzech ludzi. Żartobliwie zagaduje z jednym z nich, księciem Trubeckim. Ten powiada:

– Bestużew został zaaresztowany, a my teraz mamy znaleźć za co.

Śmiałe powiedzenie, na którym znać wpływ Woltera, wpływ jego dowcipów, ale na salonach petersburskich za elżbietańskich czasów trzeba być bardzo ostrożnym z wysłuchiwaniami takich śmiałych powiedzeń. Kiedyś wielki inkwizytor Szuwałow w rozmowie z Katarzyną wskazał na cesarzową i powiedział: „dura”. Była to niewątpliwie prowokacja. Katarzyna udała, że nie słyszy. Było to najlepsze wyjście z sytuacji, które przynosi zaszczyt jej zimnej krwi.

Katarzyna zostaje powiadomiona przez Bestużewa z więzienia, że pewne papiery mogące ją skompromitować zostały przez niego spalone. Co było w tych papierach, o tym dokładnie nie dowiemy się nigdy. Katarzyna nie do wszystkiego się przyznaje w swoich zapiskach. Teraz Katarzyna przechodzi do działań ofensywnych w swojej obronie. Występuje z żądaniem, aby ją odesłać z powrotem do Niemiec. Owe grubiańskie: „pakuj swoje manatki” sprzed lat dziesięciu widać głęboko gdzieś wwierciło się jej w mózg. Wie jednak, że to żądanie jest dla Elżbiety nie do przyjęcia: żona następcy tronu rosyjskiego za granicą mogła być wtedy instrumentem niepospolitym w czyichś rękach do interwencji w sprawach rosyjskich. Ale wysunięcie tego żądania może wyjaśnić sytuację i przyspieszyć rozgrywkę. Elżbieta odmawia audiencji, wtedy Katarzyna udaje, że jest chora, przywołuje spowiednika, wiedząc, że ten oczywiście pobiegnie z donosem do kogo trzeba. Ten chwyt się udaje, Elżbieta zgadza się na rozmowę.

Katarzyna jest tym, co określamy wyrazem: arywistka. Pnie się z dołu w górę, pnie z uporem, z wiarą we własne siły, z energią, z żelazną wolą. Została narzeczoną Piotra Holsztyńskiego, następcy tronu rosyjskiego, dlatego że w bracie jej matki kochała się kiedyś Elżbieta, dopóki ten nie kipnął na ospę. Była nicością przed tym

narzeczeństwem, jej ojciec, jakieś książątko niemieckie, których setki było w Niemczech ówczesnych, był zaledwie dowódcą jakiegoś zakazanego pułku w Szczecinie, a ona sama – o zgrozo! – jako dziecko bawiła się na ulicy z mieszczańskimi dziewczynkami i dygała, i całowała ręce ich matkom, zwykłym mieszczankom. Pomędzy nią, Katarzyną, a tymi dwojgiem, z którymi teraz gra o śmierć i życie, to jest cesarzową Elżbietą i mężem, Piotrem Holsztyńskim, różnica jest zasadnicza. W tym teatrze efektownych marionetek, którym jest historia wieku XVIII, Katarzyna mija się z Elżbietą i Piotrem Holsztyńskim, bo idzie w górę, a oni w dół. Ona rośnie w potęgę, oni są degeneratami, schyłkowcami, dekadentami krwi genialnej, bo krwi ojca bądź też dziadka, Piotra Wielkiego. Oczywiście Elżbieta to tylko początek tej degeneracji, trzeba się w niej tej degeneracji dopiero doszukiwać; współprytomny, współwariat, współdiota Piotr Holsztyński jest degeneratem w całej pełni. Ojcem Elżbiety był car, matką zawodowa prostytutka, dziewczka włócząca się za żołnierskimi obozami. Car – to za mało o Piotrze Wielkim. Był on nie tylko carem, lecz geniuszem, który wywrócił całą Rosję do góry nogami, prześladował rosyjskość, prawosławie, szydził i bluźnił prawosławnemu Bogu, walczył z obyczajem, z tradycją, nawet z językiem rosyjskim – i dał Rosji olbrzymią potęgę, zdobył dla niej dwa morza. Przed Piotrem Wielkim dwa państwa słowiańskie: Rosja i Polska, rywalizowały z sobą, przy tym Polska raczej w tej rywalizacji zwyciężała; po Piotrze już o żadnej rywalizacji polsko-rosyjskiej mowy być nie mogło. Piotr Wielki był także olbrzymem fizycznym, półtora raza większym od przeciętnego człowieka, człowiekiem o niesłychanej sile i wytrzymałości; nadludzkiej odwagi bohaterem, a czasami podłym tchórzem ulegającym napadom głupiej, zwierzęcej paniki; mędrcom, filozofem i bestialskim, ohydny sadystą. Natura bogata i skomplikowana.

Córa jego Elżbieta ma twarz zmysłową, lecz przystojną, białość skóry po mamie prostytutce, a wielkie, inteligencją ogrzane oczy po ojcu carze. O ile Katarzyna jest kobietą normalną, o dużych wymaganiach seksualnych, ale bez żadnych, najmniejszych zboczeń, o ile Katarzyna karmi ptaki w ogrodzie, o tyle Elżbieta lubi karmić ropuchy. Elżbieta zniosła karę śmierci na dworze, ale oto patrzy na jakąś pannicę przy dworze na balu i powiada: „cieniutka szyjka, na szubienicę odpowiednia”, i wybucha śmiechem. Kiedy Elżbieta, przy

pomocy żołnierzy gwardii, robiła swój zamach stanu, który potem skopiowała Katarzyna, to wpadła do pokoju niemowlęcia-cesarza Iwana Antonowicza, chwyciła dziecko z kołyski. Żołnierze wyciągnęli naprzód swe karabiny, pewni, że rzuci im dziecko na bagnety, ale oto mamka dziecka zrobiła gest błagalny, Elżbieta ucałowała niemowlę, oddała mamce, z tym że pojędzie ono do więzienia. Dopiero Katarzyna, gdy została cesarzową, na wszelki wypadek kazała tego Iwana zamordować, używszy przy tym nikczemnego chwytu prowokacyjnego. Elżbieta lubiła bale, na których na jej rozkaz mężczyźni byli przebrani za kobiety, a kobiety za mężczyzn. Katarzyna w swych zapiskach opowiada, że było to okropne. Panowie byli w złych humorach, bo nie umieli się poruszać w szerokich spódnicach na fiszbinach (w Polsce mówiono wtenczas: na wielorybim rogu) i bo włosy musieli mieć uczesane tak, jak damy na wielkich dworskich przyjęciach. Kobiety w spodniach po kolana pokazywały swe nogi, które – jak nas zapewnia Katarzyna – były zawsze albo za grube, albo za krótkie. Katarzyna, zwracam tu uwagę, pisała swe zapiski już wiele lat po śmierci Elżbiety, pisała je po prostu dlatego, aby sobie dokładnie uprzytomnić lata, kiedy była młoda, toteż nie ma najmniejszego powodu, aby myśleć, że w tych zapiskach schlebia Elżbiecie, a jednak wykrzykuje, że na takich balach o męsko-damskich metamorfozach tylko i jedynie Elżbieta wyglądała prześlicznie. Jej wysoki wzrost i kształtna figura pasowały bardzo do wykwintnego ówczesnego stroju męskiego, a jej nogi były cudem doskonałości. Linia łydek mogła się przyśnić największemu artyście w architekturze czy rysunku, a stopę miała małą i niezwykle kształtną. Raz, gdy tańczyła menueta, ów, według pojęć ówczesnych, „taniec królów i króla tańców”, Katarzyna nie wytrzymała i powiedziała jej, że dobrze, iż nie jest mężczyzną, bo nie byłoby kobiety, która by się w niej nie kochała. Elżbieta bardzo dobrze przyjęła ten wybuch zachwytu, odpowiedziała jakimś bardzo eleganckim, prawdziwie osiemnastowiecznym komplementem i pocałowała Katarzynę.

Teraz Elżbieta wzywa Katarzynę niby to na audyencję najmiłościwszą, a w rzeczywistości na „dopros”, na śledztwo, które, jak zawsze w Rosji od Piotra Wielkiego do czasów Łubianki, prowadzi się w nocy. Píše Poniatowski w swoich memuarach: „Les grands secrets ne se disent guère avant minuit bien sonné” – sekretów wielkich nie

zwierza się wcześniej, aż północ wydzwoni (ach, ciekawe! jak ten precyzyjny i lekki zarazem, jak zegareczek szwajcarski, francuski frazesik Poniatowskiego w moim tłumaczeniu na polski nabiera natychmiast fałszywych, dekoracyjnych dźwięków języka polskiego z czasów romantycznych; jak ten przykład utwierdza mnie w przekonaniu, że tłumaczenie z jednego języka na język inny jest barbarzyństwem i tandetą), ale tutaj dalecy jesteśmy od Poniatowskiego, jego francuszczyzny, jego polskości, jego europejskości, tu wchodzimy w całkowitą rosyjskość. Tu nie chodzi o zwierzenia kochanków, gdy wszystko już zasnęło i tylko „ktoś tam klaszcze za borem”, tylko o „dopros” w rodzaju tego, w czasie którego pastwił się car Piotr Wielki nad synem swoim Aleksym.

Elżbieta przyjmuje Katarzynę w swojej gotowalni. Tu i ówdzie nieporządknie poustawiane świece. Trzy okna, dwa marmurowe stoły i wielkie lustra w marmurowych ramach. Dużo wielkich parawanów w całkowitym cieniu. Drgające światło świec ledwie chwyta jakiś rąbek któregoś z tych parawanów. Za tymi parawanami siedzą jakieś zbiry, siedzi także wielki inkwizytor, czyli główny szpieg Piotr Szwałow, siedzi także obrzydliwy degenerat, mąż Katarzyny, który ją teraz nienawidzi i życzy sobie jak najbardziej jej zguby. Natomiast wyraźnie, jak w lustrach wód, odbija się światło świec w złocie kubków, miednic, mis, bidetów, bo te wszystkie przedmioty są szczerzo złote, kute w masywnym złocie. Widać w odważnym mózgu Katarzyny kołatało się jednak jakieś zdenerwowanie, skoro odbłaski świec w tym złocie opisuje nam po latach z impresjonistyczną wprost wyrazistością. Katarzyna klęka. W jednym z bidetów widzi trzy zmięte papierki. Poznaje swoje listy do generała Apraksina, widać zabrane mu przy aresztowaniu. Oddycha spokojnie. Jeśli tylko to, to nic. W tych listach nie było nic złego.

Śledztwo jest długie. W pewnej chwili wychyla się zza parawanu Piotr Holsztyński i cesarzowa używa tu obrzydliwego chwytu: powtarza mu jakąś dawną konfidencję Katarzyny, obraźliwą dla Piotra, aby go podrażnić. „Vous voyez comme elle est méchante” – powtarza teraz ciągle Piotr, ale nie stać go na żadną własną koncepcję w tej grze. Około trzeciej w nocy Elżbieta wskazuje na listy do generała Apraksina. Katarzyna nie miała prawa korespondować z tym generałem. Dlaczego więc pisała te listy?

– Lubiałam go bardzo i zachęcałam, aby jak najwierniej służył Waszej Cesarskiej Mości.

O tyle to jest prawda, że w listach tych istotnie nie ma nic, co by mogło być podstawą do jakiegokolwiek oskarżenia.

– Bestużew powiada, że były jeszcze inne listy – mówi teraz Elżbieta.

– Jeśli Bestużew tak mówi, to łże – odpowiada Katarzyna.

Teraz Elżbiecie błysnęły te wielkie, piękne oczy, które ma po swoim genialnym ojcu.

– Ach tak, więc jeśli łże, to posłę go na tortury.

– Woła Waszej Cesarskiej Mości.

Śledztwo skończone. Pojedynek dwóch kobiet wygrany przez Katarzynę.

Katarzyna wraca do domu w towarzystwie męża. Zanim powrócimy do samej sprawy Bestużew–Williams–Poniatowski, zatrzymajmy się przez chwilę na tym wyrodku.

Oto trochę skomplikowanej genealogii Romanowów. Piotr Wielki miał dwóch starszych braci. Pierwszy, car Teodor, panował do roku 1682. Po nim na tron wstąpili dwaj carewicze, Iwan i Piotr, a regentką była carówna Zofia. Potem Piotr przepędził od władzy oboje rodzeństwa i panował sam, ale po bracie Iwanie zostały dwie córki: Katarzyna i Anna. Ta młodsza, Anna, została później cesarzową Rosji i panowała od roku 1730 do 1740. Po starszej córce Iwana, Katarzynie, która wyszła za księcia Mecklenburg-Schwerin, pozostała córka Anna Leopoldówna, która wyszła za niejakiego księcia Antoniego Ulryka, i jej syn, który w 1740 roku był proklamowany jako cesarz Rosji Iwan Antonowicz, ale którego zdetronizowała Elżbieta, a później zamordowała już Katarzyna II.

Sam Piotr był żonaty dwa razy, po raz pierwszy z bojarską córką Łopuchina. Dała mu ona syna Aleksego, którego zamordował, i wnuka Piotra II, który panował od 1727 do 1730, aż umarł na ospę. Po raz drugi z Katarzyną Skowrońską, która panowała od 1725 do 1727 i miała dwie córki. Młodszą była znana nam Elżbieta; starsza, Anna, wyszła za mąż za księcia Holstein-Gottorp i z tego małżeństwa w 1728 roku urodził się Piotr, małżonek Katarzyny II, późniejszy Piotr III, zamordowany na rozkaz żony w 1762 roku.

Piotr Holsztyński w sposób makabryczny przypomina swego wielkiego dziada, tak jak małpa naśladująca ruchy człowieka przypomina człowieka.

Piotr Holsztyński ciągle coś majstrował, kręcił, czymś komendował, miał dziwaczne i obrzydliwe pomysły.

Opowiada Katarzyna w swoich „Zapiskach”:

„Wielki Książę (Katarzyna zawsze o mężu pisze: Wielki Książę lub: Jego Cesarska Wysokość), jakeśmy przyjechali do Oranienbaumu, zaraz zaczął musztrować całą swoją świtę, jako żołnierzy, i to szambelanów i kamerjunktrow na równi z lokajami i ogrodnikami.

Wielki Książę tresował także psy, a jak go to nudziło, to grał na basetli. Nie miał pojęcia o muzyce, ale im basetla wydawała dźwięki głóśniejsze i bardziej przeraźliwe, tym bardziej go to bawiło.

Raz zastałam szczura powieszzonego w pokoju. Wielki Książę mi objaśnił, że szczur ten został powieszony według regulaminu wojskowego, ponieważ dopuścił się zdrady głównej: wlażł do fortecy, która stała na stole, i zjadł żołnierza marcepanowego, który stał na warcie.

Pani Kr. dała Wielkiemu Księciu mnóstwo zabawek dziecinnych, w tym wiele lalek. Zabawki te w czasie dnia leżały pod naszym łóżkiem, a w nocy Wielki Książę bawił się nimi do drugiej w nocy. Czasami się śmiałam, ale czasami się gniewałam, bo te zabawki były ciężkie i mnie cisnęły.

Wielki Książę trzymał w alkowie naszej sypialni osiem psów myśliwskich. Smród tych psów był tak silny, że nocą miałam bóle głowy.

Raz słyszałam przeraźliwe wycie. To Wielki Książę trzymał małego pieska za głowę, a jego kałmuk za ogon, przy tym Wielki Książę bił tego pieska w sposób niemożliwy. Prosiłam, aby tego zaniechał, ale wtedy on zaczął go bić jeszcze wścieklej. Każde uczucie litości niewymownie go złościło i podniecało.

Wielki Książę chciał koło Oranienbaumu wybudować klasztor kapucynów, mieliśmy wszyscy być przebrani za kapucynów i jeździć na osłach po wodę i prowizję”.

Kiedy Katarzyna urodziła córkę Annę, prawdopodobnie córkę Poniatowskiego, Piotr zjawił się w nocy u niej w sypialni w pełnym mundurze holsztyńskim, z szablą i w ostrogach, i oświadczył, że jako rycerz i Holsztyniec będzie jej bronił w potrzebie.

Piotr stale posiadał jakieś metresy. W czasie gdy kochankiem Katarzyny był Poniatowski, metresą Piotra była Elżbieta Woroncow.

Do tych scenek dodajmy jeszcze dwie opowiedziane przez Katarzynę Daszkow.

Po śmierci Elżbiety, swej ciotki, gdy Katarzyna stale modliła się przed trumną cesarzowej, Piotr odwiedzał cerkiew tylko bardzo rzadko, aby przedrzeć popów odprawiających nabożeństwa i głośno musztrować żołnierzy stojących na warcie.

Kiedyś Piotr zobaczył swego ukochanego negra Narcyza, jak bił się z czyścicielem wychodków. Piotr lubił bójki i obserwował to z przyjemnością, ale potem oświadczył, że Narcyza należy zlikwidować, bo się zhańbił bójką z tak mizerną kreaturą. Wy tłumaczono mu wtedy, że można Narcyzowi przywrócić honor, jeżeli przejdzie pod sztandarem pułkowym. To Piotrowi przypadło do przekonania, ale uznał samo przejście negra pod sztandarem za niewystarczające i kazał mu drzewcem sztandarowym zetrzeć trochę skóry do krwi.

Piotr był obrzydliwym tchórzem. Wywracał się kiedyś dom, w którym mieszkała Katarzyna z Piotrem. Katarzyna biegła z pokoju do pokoju i wydawała rozporządzenia ewakuacyjne, a Piotr z chwilą pierwszego alarmu, w koszuli, z wrzaskiem i strachem, uciekł na podwórze.

Czy nie za dużo tej rosyjskości w książce o ostatnim królu polskim?

Nie! Obrazki powyższe są tu koniecznie potrzebne. O! nie tylko dlatego, że całe panowanie Stanisława Augusta, poczynając od wyniesienia go na tron, związane jest z Katarzyną II. Chodzi tu jeszcze o coś bardziej zasadniczego.

Chodzi o wielką, istotną różnicę pomiędzy ustrojem dwóch państw, z których jedno zwyciężyło, drugie upadło.

Oto jest państwo rozległe, bo od Bałtyku do Morza Czarnego, sięgające Oceanu Spokojnego i rządzone z petersburskiej centrali tak, że może się zdawać, iż jest to maszyna bezduszna, bezwolna, obracana naciśnięciami małego guzika elektrycznego. Olbrzymie państwo obraca się według naciśnięć tego guzika zupełnie niezależnie, czy naciska go niepiśmienna baba, jak Katarzyna I, czy półgłówek w rodzaju Piotra III.

Jedyny środek do usuwania przerostów w nonsensie to morderstwa władców przez ich następców przy pomocy kilku tysięcy żołnierzy gwardii w Petersburgu, czyli znów działa tylko mały, maleńki punkcik centralny w stosunku do rozległości kraju. Wszystko inne słucha z prawdziwym heroizmem niewoli.

I oto obok państwo sąsiednie, nie tak olbrzymio rozległe, ale za to złożone z obywateli bogatszych, oświecieńszych, o wysokim poczuciu honoru. I w tym drugim państwie widzimy wręcz odwrotną skrajność. Tu nikt nikogo nie słucha, ani króla, ani sejmu, ani trybunału. Tutaj w ogóle nie ma żadnej władzy, panuje najcałkowitsza anarchia.

Potworności, które znoszą Moskale w postaci posiadania takich władców, jak świeżo opisany Piotr III, nie są potwornością większą od potworności polskich, polegających na zrywaniu wszystkich sejmów i doprowadzaniu kraju do całkowitego nieładu.

Oto jeden z przykładów.

Kim był Poniatowski w Petersburgu w czasie opisywanych wypadków? Nie jest posłem polskim, bo aby król mógł wysłać posła, trzeba było zezwolenia sejmu, a sejmy są ciągle zrywane, więc takie pozwolenie udzielone być nie może. Poniatowski jest więc tylko posłem Augusta III, jako elektora saskiego, choć zajmuje się wyłącznie sprawami polskimi i choć w Petersburgu oczywiście był i jest rezydent saski, Prasse, bardzo Poniatowskiemu nieprzychylny.

Zresztą nieszczęściem Poniatowskiego jest to, że zawsze znajduje się w jakiejś sytuacji połowicznej, fałszywej, nieokreślonej, nieznośnej, takiej, jaką Francuzi określają wyrazem: „louche”. Oto należy do polskiej magnaterii, a przecież jego pochodzenie po mieczu jest dość drażliwe. Dziadek jego, Franciszek, był gubernatorem u Lubomirskich, czyli rodzajem ekonoma, a kim był jego pradziadek, tego dokładnie nikt nie wie. Syn Franciszka Poniatowskiego i Heleny z Niewiarowskich, Stanisław Poniatowski, doradca Karola XII, wielki polityk, ojciec króla, był więc homo novus wśród arystokracji polskiej, sytuację ratowało to tylko, że się ożenił z księżniczką Konstancją Czartoryską.

Sam Poniatowski był młodzieńcem wyjątkowo czytany, inteligentnym, rozumnym. Był tylko bardzo daleki od typu przeciętnego Polaka. Był tym, co wówczas określano pogardliwym mianem „pani-

czyk” lub „piesek z francuskiej mąki”. Podczas gdy u nas panowało powszechne pijaństwo, on dał słowo matce, że nie będzie pił. Podczas gdy u nas szlachcic co chwila obnażał szablę – trzeba czy nie trzeba – w obronie swego honoru, ciągle w czyjs łeb walił i sam łba nadstawiał, on, gdy mu raz w Dreźnie książę Lichtenstein powiedział: „nudzisz mnie, waćpan”, nie zareagował na tę niegrzeczność, dlatego że tego wieczoru obawiał się ataku febry. Dopiero na drugi dzień spotkał się z księciem Lichtensteinem i wyzwał go w słowach godnych, ale bardzo grzecznych, potem zaś zaraz się zgodził na zaniechanie pojedynku. Nie potrzeba tu chyba wyjaśniać, że przeciętnego szlachcica polskiego spodziewany atak febry popychałby do awantury, a nie działał na niego powściągliwie.

Do Rosji przyjechał Poniatowski po raz pierwszy w roku 1755, w roli, której pochwalić nie potrafię. Przyjechał tutaj w charakterze sekretarza poselstwa angielskiego, a nie polskiego, a de facto jako obrońca politycznych interesów stronnictwa politycznego, do którego należał, mianowicie stronnictwa Familii, a więc nie dla popierania, lecz dla przeciwdziałania polityce swego króla Augusta III i jego ministra Brühla. Zamieszkał u posła angielskiego Williamsa, a zdaje się, że ten Williams po prostu się w nim kochał.

Zresztą czasy były tak samo dwuznaczne, jak i osobista pozycja Poniatowskiego. Jest to przeddzień wojny siedmioletniej. Wszyscy zmieniają swoich sojuszników, następuje „odwracanie aliansów”. Szachownica polityczna świata jest bardzo ożywiona, od Kanady do Śląska. W 1755 roku korsarze angielscy napadają na okręty francuskie. W tymże roku Williams, przy współudziale Poniatowskiego, zawiera z Rosją przymierze, ale oto Londyn czepia się pewnych niedokładności w podpisywaniu dokumentów, ściśle mówiąc czepia się tego, że dokument przeznaczony dla Rosji był przypadkowo wysłany do Londynu, a przeznaczony dla Londynu pozostał w Rosji; robi z tego sprawę honoru państwa, wszystko to oczywiście dlatego, aby przykryć swoją właściwą politykę, która się ujawnia w podpisaniu w styczniu 1755 roku przymierza z Fryderykiem II, królem Prus, wrogiem Rosji. Wobec tego wiarołomstwa angielskiego Elżbieta podpisuje z Austrią układ sojuszniczy 25 marca 1756, a 1 maja tegoż roku Austria układem wersalskim wiąże się z Francją. Dla charakterystyki czasów dodajmy, że pertraktacje austriacko-francuskie prowadzone

są przez panią Pompadour, kochankę Ludwika XV. Saksonia i Szwecja przyłączają się do Francji, Austrii i Rosji. Polska jest jak zawsze sparaliżowana przez anarchię, przez systematyczne zrywanie sejmów, przez obawy, czy aby król nie naruszy swobód szlacheckich. Obecnie powiedziałoby się jeszcze bardziej idiotycznie: czy prezydent nie naruszy zasad demokracji. Kierując się względami strategiczno-militarnymi, Fryderyk II rozpoczyna wojnę i 26 sierpnia 1756 wkracza w granice Austrii.

W tym czasie, kiedy Williams układał się z Bestużewem, że Rosja przeciwko Prusom wystawi pięćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy, i finansował Katarzynę, Bestużew zaczął szukać dla Katarzyny odpowiedniego kochanka. Z dwóch kandydatów, których jej przedstawił, Katarzyna wybrała Polaka. Początki więc miłości Poniatowskiego miały charakter dyplomatyczny z jego strony. Młody ambitny dyplomata, który – jak to z naciskiem stwierdza w swych pamiętnikach – dotychczas nie znał żadnej kobiety, widąc sobie powiedział: „Trzeba przejść i przez to”.

Ale wnet sytuacja się zmienia. Poniatowski zakochał się gwałtownie i namiętnie w Katarzynie, nie tylko ze względu na jej niepospolite zresztą wdzięki kobiece, ale także ze względu na rozmowy z nią, którymi się upajał. Rozmawiali o Wolterze, o literaturze francuskiej, o prawie, o polityce. Jak się zdaje, Katarzyna pozostanie w życiu Poniatowskiego jego jedyną miłością, miłością życia całego. Z jakimże rozczeniem zapisuje w pamiętnikach, że „tego dnia” – a powinien być raczej napisać „tej nocy” – miała ona na sobie sukienkę z białego atłasu i trochę koronek splecionych ze wstążkami we włosach. Wtedy też, w 1756 roku, w umyśle młodzieńca zakochanego, w szarpaninie marzeń szukającego sposobu, w jaki połączyć się z Katarzyną na całe życie, powstała myśl, że ożenić się z nią może tylko jako król, a więc niech Polacy obiorą go na króla. Poniatowski to człowiek z bajki, który zdobył koronę, aby zdobyć kobietę.

Na razie jednak, w sierpniu 1756 roku, wyprasza ją go z Petersburga, ale Katarzyna także gustowała w rozmowach o Wolterze, przezywanych pocałunkami, więc rozpoczyna na całego akcję zmierzającą do powrotu Poniatowskiego do Petersburga. I oto Brühl robi go wysłannikiem Augusta III. W tym charakterze składa Poniatowski cesarzowej Elżbiecie swe listy wierzytelne 11 stycznia 1757.

Elżbieta jest zachwycona jego mową i każe ją wydrukować. Dotychczas w czasie takich uroczystości słyszała tylko banały, czasami wypowiedziane z jękami się czy seplenieniem przez bezzębnych starsuszków. Tutaj przemawiał do niej młodzieniec o wielkim talencie krasomówczym; jego dykcja była doskonała, jego komplementy wspańnię, jego argumenty trafne, wyrazistość myśli przejrzysta i poważna. Ta mowa była wielkim sukcesem Poniatowskiego, ujawnieniem talentów męża stanu. Poza tym była to mowa ogniście antypruska. Poniatowski najlojalniej bronił tu już interesów swego króla, Polski i Saksonii. Z Williamsem całkowicie zerwał, przynajmniej tak czytamy w jego pamiętnikach.

Katarzyna także przyjmowała dyplomatów. Podczas takiego przyjęcia jej mały piesek, suczka, która się nazywała może Colette, a może Żaba, złośliwie szczekała na wszystkich przedstawicieli państw obcych, a czule łąsiła się do Poniatowskiego.

Pozostała nam obfita korespondencja dyplomatyczna Poniatowskiego z tych czasów, szereg not, które składał on rządowi rosyjskiemu. Podziwiamy jego rozum polityczny, jego nienaganną, godną i grzeczną argumentację, jego poczucie godności państwa, które reprezentuje. Jakże płaskie są w zestawieniu z tymi arcydziełami politycznymi listy samego Brühla. Poniatowski pisze jak wielki minister spraw zagranicznych, Brühl jak stara, rozplotkowana baba. Specjalnie podkreślam, jako dowód wszechstronności umysłu Poniatowskiego, jego zainteresowanie sprawami gospodarczymi. Jakże intensywnie i rozumnie broni wszelkich ekonomicznych interesów Polski w swych notach do Rosji.

Ale cóż, kiedy nie wszystko w jego życiu ówczesnym wyglądało tak dyplomatycznie i godnie. Oto jedzie „zwoszczykiem”, czyli dorożką, przebrany, do pałacu wielkich księstwa w Oranienbaumie. Robi to bardzo często, ale tym razem pech chciał, że spotyka go powóz wielkiego księcia, jadącego ze swą kochanką, Elżbietą Woronców, która zaczyna żartować na temat tajemniczej dorożki. Wścieka to Piotra i oto gdy Poniatowski wychodzi z małego budynku będącego łaźnią, gdzie zażywał niebiańskiej kąpieli, zostaje otoczony przez żołnierzy wielkiego księcia, którzy biorą go za kołnierza i prowadzą do izby, gdzie znajduje się Piotr Holsztyński, który z pijacko-maniackim uporem zaczyna Poniatowskiemu zadawać niezdolne pytania:

– Czy... moją żonę?
– Nie, Wasza Cesarska Wysokość – odpowiada grzecznie Poniatowski.

Ale wielki książę wraca do swego głupiego:

– Czy...?

Wreszcie pozostawia aresztowanego Poniatowskiego i na jego miejsce pojawia się wielki inkwizytor, Szuwałow. Z tym można rozmawiać po ludzku. Poniatowski mu tłumaczy, że robienie skandalu jest niewskazane ze względu na powagę rosyjskiego dworu za granicą. Szuwałow ulega tej argumentacji i odsyła Poniatowskiego do jego mieszkania. Argumentacja Poniatowskiego była istotnie dyplomatycznie doskonała, ale... może nawet zbyt doskonała.

Trzeba jednak zakończyć sprawę także na pokojach wielkich księstwa. Tutaj Katarzyna zwraca się o pomoc do kochanki męża, Elżbiety Woroncow, i Poniatowski robi to samo. Panna Woroncow odpowiednio nastraja Piotra i w rezultacie Poniatowski jest u wielkiego księcia, a ten idzie do sypialni żony, bierze ją na ręce z gołymi nogami i bez spódnicy, wchodzi do pokoju, gdzie jest Poniatowski, rzuca na kanapę i mówi: „bawcie się, moje dzieci”, po czym razem z Elżbietą Woroncow idzie do drugiego pokoju. Od tego czasu Poniatowski nie ma żadnych przeszkód w swych rozmowach o Wolterze.

Jednak cesarzowa Elżbieta okazuje w tej sprawie pewną drażliwość, a posłowie zagraniczni, zwłaszcza francuski, są przekonani, że Poniatowski wciąż konszachtuje z Williamsem, i Poniatowski musi Petersburg opuścić. Jego córka, którą urodziła Katarzyna, umarła już po jego wyjeździe w 1759 roku.

Elżbieta umarła 5 stycznia 1762, nie zdążywszy w jakiś rozumny sposób załatwić kwestii dziedzictwa tronu. Cesarzem Wszechrosji został Piotr III. Zatrzymał on wojska rosyjskie walczące z Fryderykiem II, bo uwielbiał tego króla, zawarł z Prusami przymierze, poza tym głosił, że chce przejść na luteranizm i pojąć za żonę Elżbietę Woroncow; żołnierzom gwardii zmienił mundury na pruskie...

Piotr Wielki siedł oczywiście o wiele dalej w znęcaniu się nad wszystkim, co było narodowo-rosyjskie. Ale to był Piotr Wielki, który stworzył potęgę Rosji. Piotr Holsztyński był tylko makabryczną jego karykaturą.

Katarzyna miała już od 1759 roku nowego kochanka, Orłowa. Za jego i księżnej Daszków, dziewiętnastoletniej kobiety, pomocą, zbuntowała gwardię przeciwko holsztyńskim żołnierzom Piotra. Została proklamowana cesarzową. Piotr wykazał tchórzostwo rzadkie w swej obrzydliwości. Prosił, aby mu zostawić tylko jego kochankę, jego negra i jego basetkę. Katarzyna kazała go udusić.

W dwa tygodnie po tej zmianie tronu, która zaszła 14 lipca 1762, Katarzyna wysłała list do Poniatowskiego, w którym opisuje mu dokładnie te wypadki. List datowany 2 sierpnia 1762 zaczyna się od słów:

„Wysyłam bezzwłocznie hrabiego Keyserlinga, jako ambasadora do Polski, aby zrobił ciebie królem po śmierci tego – jeśli mu się to nie uda, to życzę sobie, aby królem został książę Adam”.

Ileż nowej cesarskości mieści się w tym: „życzę sobie”. Ale na to pracowała Katarzyna osiemnaście lat – bo od swego przyjazdu do Rosji w 1744 roku – w ciężkich i nieznosnych warunkach.

Styl listu człowieka więcej o nim mówi niż linie na jego dłoni. Toteż wczytuję się z zainteresowaniem w zakończenie tego listu Katarzyny:

„Otrzymałam twój list. Regularna korespondencja byłaby poddana tysiącom niedogodności, a ja mam dwadzieścia tysięcy przezorności do przestrzegania i nie mam czasu na pisanie słodkich bilecików szkodliwych”.

Tę samą myśl można by wyrazić prościej, na przykład: „Dawny kochanku, idź sobie do diabła”.

Dalej to samo, tylko już w trochę bardziej ludzki, to jest trochę serdeczniejszy sposób:

„Jestem bardzo skrupowana. Nie mogę ci tego wszystkiego opowiadać, ale to tak jest”.

Ostatni frazes tego listu bardzo mnie rozczuła. Napisałem na emigracji dwie małe sztuczki teatralne, z których jedna dzieje się na emigracji za naszych czasów, a druga za czasów Krasińskiego, i każda z nich się kończy westchnieniem kobiety:

„Czasami się życie bardzo dziwnie układa”.

Otóż ten list Katarzyny II także się kończy tak bardzo po kobiecemu:

„Żegnaj! Są na świecie sytuacje bardzo dziwaczne”.

II

MEMENTO MORI

W kościele Świętego Jana w Wilnie, barokowym i jezuickim, pozostał na noc jakiś zamodlony nowicjusz. I oto, gdy wybiła północ, z podziemi tego kościoła wychodzili potępieńcy. Nowicjusz, aby od nich uciec, pobiegł na chór kościelny. Potępieńcy wrócili do podziemi, poprzynosili swe trumny i zaczęli z nich wznosić rusztowania w kierunku chóru. Ale za każdym razem, gdy wierzchołek upiornego rusztowania był już bliski balustrady chóru, nowicjusz czynił znak krzyża świętego i wszystkie trumny z hałasem, z łoskotem piekielnym padały na kamienną posadzkę kościoła. Potępieńcy padali wraz z nimi i tylko ze złością szczyrzyli w stronę nieszczęsnego nowicjusza swe obmierzłe, trupie zęby. Wreszcie trzeci kur zapiał, potępieńcy uciekli, trumny otwarte pozostały na podłodze. Ojcowie jezuici, gdy nad ranem zjawili się w kościele na modły pobożne, zastali rumowisko czarnych i spróchniałych desek trumiennych w kościele, a skręcone w piekielnych widać mękach kościotrupy potępieńców w kryptach pod kościelną podłogą. Cóż mieli robić? Nie mogli przecież nadal trzymać potępieńczych kości w swojej świątyni. Ze wstydem i smutkiem musieli się zgodzić na pochowanie tych niegodnych resztek gdzie indziej, co im oswobodziło zresztą krypty kościelne do godnego pochowania nowych dobrodziejów kościoła i zakonu.

Samo wydarzenie było opisane w licznych publikacjach i stało się również przedmiotem wielu rycin sprzedawanych ludziom pobożnym.

Po śmierci Anny Potockiej, żony Franciszka Salezego, wojewody kijowskiego, jednego z najbogatszych ludzi w Europie, w roku 1772 jedna z nowicjuszek zakonu panien benedyktynek w Przemyślu

miała widzenie: zjawiała się jej jaśnie wielmożna wojewodzina kijowska i wyznała „z wzdychaniem, że cierpieć musi straszne męki czyścicowe, do chwili, w której będzie msza żałobna odprawiona za jej duszę w kościele Panien Benedyktynek w Przemyślu”.

Wojewodzina kijowska była, jak wiadomo, matką Szczęsnego Potockiego i świekrą Gertrudy Komorowskiej, utopionej z rozkazu dumnego wojewody. Trudność odprawienia mszy żałobnej za jej duszę w kościele panien benedyktynek w Przemyślu polegała na tym, że kościół ten, którego budowa była rozpoczęta, nie był jeszcze wykończony, gdyż benedyktynekom zabrakło po prostu pieniędzy. Ze względu na osoby wchodzące w grę sprawa nabrała wielkiego rozgłosu i ksiądz biskup przemyski delegował do przesłuchania nowicjuszkę, która się nazywała Wiktoria Blejkowska, kustosa katedralnego, który był jednocześnie sędzią delegowanym przemyskim z prawami wikarego generalnego. Nowicjuszka okazała księdzu kustoszowi dowód bezsporny, a mianowicie deszczułkę drewnianą, na której duch jaśnie wielmożnej wojewodziny kijowskiej odcisnął znamię swej ręki. Poza tym nowicjuszka złożyła przysięgę treści następującej:

„Ja, Wiktoria, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej jedynemu, jako wypalenie ręki na deszczułce JW Jegomości Księdzu Biskupowi Przemyskiemu odesłanej uczynione jest przez zmarłą śp. Annę Potocką Wojewodzinę Kijowską na jawie przeze mnie widzianą i jako słowa w rekognicji były w wyznaniu moim ręką moją pisanem i podpisanem do mnie mówione są teże Wojewodziny zmarłej na jawie mówione, a nie przez sen imaynowane, tak mi Panie Boże dopomóż i święta Syna Jego męka”.

Dokumenty tej sprawy zostały przez kapitułę przemyską wojewodzie kijowskiemu odesłane. W odpowiedzi ofiarował on klasztorowi panien benedyktynek w Przemyślu trzydzieści tysięcy złotych na wykończenie budowanego kościoła oraz opłacił malarza Strońskiego, aby ten kościół wymalował.

Adam Moszczeński w swych pamiętnikach opowiada, że w Gosławicach w województwie gnieźnieńskim proboszczowi miejscowemu ukazał się były dziedzic Gosławic Lubrański, na koniu ognistym zjeżdżając do niego z sufitu w nocy, i kazał obecnemu kolatorowi Łąckiemu powiedzieć, aby złożył fundusz na utrzymanie aż pięciu księży przy gosławickim kościele, przy tym Lubrański nadmienił, że

w tej samej postaci gotów jest stanąć na komisję do księdza prymasa Łubieńskiego.

Łącki żądany fundusz złożył.

Niedowiarek Moszczeński pisze w swoich interesujących pamiętnikach:

„Nie było domu magnata lub majątnego obywatela, żeby po śmierci pana dusza nie ukazywała się to księżom, to sługom, to zakonnikom bawiącym w tym domu i nie żądała, by sukcesorowie czynili hojne ekspensa na nabożeństwa dla jej zbawienia. Częstokroć te dusze zostawiały znaki ręki wypalanej na stołach i straszyły swym pokazywaniem się ludzi i kobiety”.

Byli jednak ludzie, którzy w nic absolutnie nie wierzyli – różni wolterianie i ateści. Ale i ci czasami musieli dawać świadectwa prawdzie. Oto Tadeusz Czacki herbu Świnka, ogólnie w Polsce znany działacz, patriota i uczony, w swym dziele kapitałnym „O litewskich i polskich prawach”, wydanym w roku 1801, a więc już nie w XVIII, lecz w XIX wieku, potępia wiarę w czary, gusła i czarownice, szydzi i drwi z ludzi zabobonnych. Jako jednak człowiek obiektywny zaznacza:

„Powinność pisania prawdy każe wyrazić, że w czasie powietrza w 1770 roku żywą upiorzycę na Ukrainie spalono”, przy tym tę swoją informację uzupełnia bardzo rozsądną uwagą, do której później powrócę i później ją przytoczę.

Opowiadam te scenki nie dla płaskiego naigrawania się z ciemnoty tamtych czasów. Polak XVII wieku czuł upiora ciągle koło siebie, współżył ze zjawą świata niewidzialnego, jechał przez życie strzeżenie w strzeżeniu z niesamowitością. Zresztą... Do ostatnich czasów, jak Polskę pamiętam, ludzie bali się u nas cmentarzy w nocy. Czy się dziś boją? Oczywiście nie wiem.

Pamiętam pogrzeb mojej babki w Wilnie, gdy miałem lat dziewięć, i wrażenie wstrząsające, które na mnie sprawił. Śnieg tajał, słońce przeglądało się w kałużach. Karawan czarny, barokowy, osiemnastowieczny, typu spóźnionego baroku prowincjonalnego. Pogrzeb trwał dwa dni. Eksportacja wieczorem do kościoła, nazajutrz msza żałobna, pochód na cmentarz, świece i świece, szarpiące nerwy śpiewy, straszące nerwy dzwony, zawodzenia żebraków, stuk zamykanej trumny, grudki ziemi sypane przez dzieci i wnuki, krewnych i znajomych.

Cała tysiącleciami obmyślana inscenizacja, cały wiekami obmyślany scenariusz, mający za zadanie podnieść godność śmierci, zmusić do ciągłego o niej myślenia, zastraszyć człowieka śmiercią.

Zgadzam się zupełnie z Michałem Bobrzyńskim, wielkim publicystą historycznym, że przesadzamy ogromnie w sprawie tolerancji polskiej w XVI wieku. Podkreślenie tej tolerancji wymyślone było przez nas w XIX wieku dla celów propagandowych i jest oczywiście ahistoryczne i anaukowe. Nie można antydatować zjawisk historycznych, nie można twierdzić, że liberalizm zrodzony w Europie dopiero w wieku XVIII istniał w Polsce w wieku XVI, bo to oczywisty fałsz. Nasza tolerancja w wieku XVI była zjawiskiem świadczącym o indyferentyzmie religijnym społeczeństwa, a nie o tym, żeśmy przed całą Europą wymyślili liberalny stosunek do wierzeń religijnych. Natomiast nie doceniamy naszego udziału w innym ruchu dziejowym, w reakcji katolickiej XVII wieku, w kontrreformacji XVII wieku. W ogóle ten wiek jest jeszcze nie odcyfrowany. Aby go mieć w oczach, trzeba przyjść do kościoła Dominikanów w Wilnie, nie dlatego, że w podziemiach tego kościoła leżą setki świetnie zakonserwowanych, zasuszonych trupów w kontuszach, lecz dla tych marmurowych biskupów i kaznodziejów, którzy wyskakują z marmurowych ołtarzy. Ich gest, ich poza, ich frazes! Wyrażają oni całą żywość, dynamiczność, burzliwość XVII wieku, wieku permanentnej rewolucji uczucia. Ten wiek siedemnasty jest jak królewna z bajki, która śpiąca leżała w szklanej trumience. Oglądamy ten wiek po starych kościołach, nie rozumiemy go zupełnie, nie wiemy, dlaczego był wiekiem najgenialniejszego malarstwa, skąd miał tak wspaniałe pocucie barwy. Katolicyzm! Zrodził on wtedy protest przeciwko suchości i oschłości niemieckiego protestantyzmu, przyniósł z powrotem do ołtarza obraz kobiety karmiącej obnażoną piersią niemowlę, uświęcił tkliwość macierzyństwa, życia, miłości. Była to reakcja gestu, teatralności, wszelkiego rodzaju iluzji, sztuki, malarstwa, muzyki, rzeźby, bogactwa formy, które to rzeczy protestantyzm chciał wygnać ze świątyni. Był to rewanż świata południowego, romańskiego, bogatego w iluzje. Był to przede wszystkim rewanż renesansu, kontynuacja renesansu upajania się światem starożytnym. Jezuita uczyli nie tylko o Bogu, ale i o bogach, uczyli mitologii.